

Przygody Pierre'a Szczęściarza.

Wersja reżyserska

[fragment]

Robert Coover

Związki Roberta Coovera z kinem mają długą historię i wiele obliczy. Jedno z opowiadań pisarza – *Opiekunka do dzieci (Babysitter)* ze zbioru *Pricksongs & Descants* (1969), przedrukowane w „Literaturze na Świecie” w tłumaczeniu Jacka Szelegejda i Andrzeja Ziemiańskiego (1/2001) – zostało zekranizowane (*Babysitter*, 1995, reż. Guy Ferland). W roku ukazania się *Pricksongs & Descants*, w czasach studenckich protestów, Coover zrealizował też film *On a Confrontation at Iowa City (O konfrontacji w Iowa City)*, będący, według słów autora: „lirycznym filmem dokumentalnym o radykalnym zaangażowaniu”. Dzieło to nie było szeroko rozpowszechniane, ale zdobyło podobno uznanie legendarnego francuskiego dokumentalisty Chrisa Markera.

O zainteresowaniach, czy wręcz fascynacji, Coovera filmem najlepiej jednak świadczy jego proza – pełna aluzji do kina. Bohaterem powieści *The Adventures of Lucky Pierre (Przygody Pierre'a Szczęściarza, 2002)* o wymownym podtytule *directors cut* („wersja reżyserska”) jest gwiazdor filmów porno. Narracja prowadzona jest tak, jakby ktoś opowiadał film, a rozdziały nazywane są, w niemodnym już slangu filmowców, „aktami” (*reels*). Podobną filmową narrację można odnaleźć również we wcześniejszych dziełach pisarza, na przykład w *Pricksongs & Descants* czy *Wieczorze w kinie* (wyd. polskie 1991, tłum. M. Kłobukowski). Ten ostatni zbiorek, zgodnie z tytułem, w całości poświęcony jest kinu.

W tych odniesieniach do kina nie brak wątków inspirowanych animacją. W *Wieczorze w kinie* jest między innymi miniopowiadanie zatytułowane *Film rysunkowy*, które rozpoczyna się następująco: „Rysunkowy człowiek jedzie rysunkowym samochodem do rysunkowego miasta i przejeżdża prawdziwego

człowieka”. W innym utworze z tego samego tomu (*Antrakt*) bohaterka uczestniczy w seansie filmu rysunkowego: „zwierzątka rozdeptują się nawzajem – ot, normalka”. Przedrukowany dalej fragment *Przygód Pierre'a Szczęściarza* (a konkretnie ósmego aktu powieści, zatytułowanego *Znokautowany. Reanimacja Petera Bestii*¹) nie jest więc czymś zaskakującym w twórczości autora.

Kilka lat temu miałem okazję przeprowadzić rozmowę z Cooverem do filmu o magii animacji, który realizowałem prywatnie dla studentów. Przekonałem się wtedy, że pisarz pilnie śledził przemiany dokonujące się w tej dziedzinie za sprawą postępującej rewolucji technicznej. Mówił wówczas między innymi: „Zaciera się granica między światem animowanym a rzeczywistością. Doświadczenie przebywania w tym pierwszym staje się bardziej demoniczne, niż to było kiedyś. Niegdyś oglądanie filmu animowanego przypominało występ iluzjonisty, o którym każdy wiedział, że wyciągał karty z rękawa. Dzisiaj natomiast nie potrafimy powiedzieć, w jaki sposób magia jest robiona”. Do takich konkluzji doprowadziła Coovera nie tylko znajomość filmowych nowości, ale i lata eksperymentów z hipertekstem w wirtualnej rzeczywistości, przeprowadzanych w sławnym laboratorium The Cave (Jaskinia), którym kierował na Brown University w Providence w USA.

Marcin Giżycki

¹ *Cold Cocked: The Reanimation of Pete the Best*; tytuł jest wieloznaczny, słowo *coldcocked* może oznaczać zarówno „nokaut”, jak i akt seksualny, a w tym konkretnym przypadku nie bez znaczenia jest fakt, że animatorka znajduje bohatera zamarznętego na kamień, odłamuje mu penisa i zastępuje go animowanym członkiem (*cock* może się odnosić m.in. do męskiego narządu).

Kinogród w porannych szarościach. Najzimniejsza godzina dnia. Niczego wokół. Jedyny ruch: strzępy papieru gazetowego gnane przez wiatr, który jest razem jedynym źródłem dźwięku. Tęskny szept, który czasem urasta do słabego, niedbałego pogwizdywania. Światła drogowe przetwarzają swe cykle, jakby na pustej scenie ćwiczyły nieustającą choreografię. Pustej, co nie znaczy niezagraconej. Poczerniały od ruchu ulicznego śnieg pokrywają krosty na wpół zagrzebanych śmieci, powyginanych części samochodowych, pustych butelek, wyrzuconych ubrań, obróconych w bryły lodu potraconych zwierząt. Tu i ówdzie większe spiętrzenia sugerują potencjalną obecność form ludzkich, poległych lub zaledwie pograżonych w śnie zimowym. Nagle na zasypane śniegiem ulice wkracza, kulejąc, jednooka kaleka w długich spodnicach, zgarbiona, omotana chustą, być może bezdomna, ryzykownie dźgając większe spiętrzenia i sprzedając im kopniaki. Co jakiś czas któreś z nich się porusza, słyhać przekleństwo, a kobieta przygląda się mu bliżej. Jej wędrowce towarzyszy prosta molowa melodyjka, powolna i smutna jak nowy dzień, wystukiwana wyraźnie, ale miękko, na niewidocznym pianinie. Kobieta zagląda do budek telefonicznych, na ganki, do publicznych toalet, pod porzucone samochody i za kubły na śmieci w zaułkach. Przystaje przy czymś, co zdaje się patykowatym wrakiem małego gaju wciśniętego pomiędzy wysokie budynki, które powyrastały wokół niego. Spiętrzenie pod nim jest przykryte grubą warstwą starych gazet – zasadniczo to strony z komiksami – a gdy kobieta je zeskrobuje, odnajduje zamrożone ciało odziane, czy też półodziane, w porzewiałą zbroję i stare buty. Twarz mężczyzny jest otynkowana lodowymi trocinami, jakby pochodził z minionej epoki. Muzyka się urywa. Powraca astmatyczny szept wiatru. W długie zlodowaciałe włosy mężczyzny wplątał się wysuszony wieniec, a jego skórzany napierśnik jest sztywny i ponadgryzany przez małe zwierzęta. Jego broda jest biała. Jego dupa – niebieska. Do naramienników ma przymocowane jakieś koronkowe farfocle. Stara kaleka odczepia je, próbuje powąchać, marszczy nos i ciska na bok. Słyhać dźwięk sztućców wypadających z szuflady na wykafelkowaną posadzkę. Kobieta podnosi głowę. Łypie wokół jedynym okiem (nic do oglądania poza opuszczonymi zimowymi ulicami, mruganiem świateł drogowych), wzrusza ramionami i powraca do zamrożonego rycerza, o ile to jest zamrożony rycerz albo o ile nim był. Kobieta zakasuje spodnicę i siada na jego niebieskim zadku, starając się go roztopić, w momencie kontaktu wzdryga się, potem kładzie na mężczyźnie i ułamując mu zamrożony włos przy uchu, szepcze do niego czule słówka, by poruszyć

wewnątrz jakieś życie. *Kurwa!*, mruczy, *Pizda! Chuj! Pete? Jesteś tam? Moja rozgrzana cipka pragnie twojego gorącego kutasa i takie tam! Halo!*, krzyczy i puka go w czaszkę, *jest tam ktoś?* Nic. Gadanie jak do deski. Próbuje go odwrócić, ale mężczyzna zdaje się przy-marznięty do przemarzniętej ziemi. Pochyla się, aby pochuchać w miejsce przywarcia, po czym próbuje ponownie. Po chwilowych trudnościach rozlega się soczysty dźwięk rozdierania i rycerz się odrywa. Z obu stron jest z grubsza w tych samych kolorach, bardziej płaski z przodu od długiego kontaktu z ziemią, trochę postrzępiony w miejscach, gdzie się odkleił. Brakuje mu skrawka brody, który teraz obradza ziemię. Kobieta szuka jego członka, nie może odnaleźć, zmartwiona, że mógł się oderwać, rozgrzebuje lodowe trociny. Ale nie, mruży oko uważniej i dostrzega go między nogami: tyci skurczone coś, twarde jak sopelek, którego w tym momencie najbardziej przypomina. Zaczyna go ssać, ale nie ma poprawy. Próbuje dać mężczyźnie pocałunek życia, ten drugi, ale jego szczęki są zamrożone na kość. Targa go za naramienniki, aby może przeciągnąć w jakieś cieplejsze miejsce, ale z niego jest zbita bryła, a jej brakuje sił. Sfrustrowana daje mu kopniaka, rozlega się donośne, puste łup i kobieta zatacza się, próbując rozmasować kontuzjowany paluch u stopy, o ile to paluch. Kopie go ponownie, tym razem ze złości i ponownie słyhać hałas, jakby ktoś uderzał w puste drzewo sporym młotem. W końcu kobieta schyla się i odrywa mu penisa z nagłym *pstryk*, wrzuca do kieszeni spodnicy i oddala się, kuśtykając, muzyka z pianina powraca. Choć kobieta jest zgarbiona, głowa wciśnięta w ramiona, spomiędzy fałd chusty wychyla się tylko niebieski nos, a poza tym zupełnie bez ruchu, to pod spodnicami stopy szybciotko drobią, a ona śmiga w prawo, w kierunku, w jakim się czyta. Albo inaczej, ona się nie rusza, unosi się troszeczkę nad skutymi lodem ulicami, jej stópki młocą, a miasto samodzielnie przewija się w tle w przeciwnym kierunku. Dociera wreszcie do budynku (albo to budynek dociera do niej) pomalowanego na nudne kolory i upstrzonego obscenicznymi bazgrołami z napisem STUDIO ANIMACJI na drzwiach. Wchodzi do środka.

Muzyka ucichła. Jednooka animatorka w poplamionym farbą kitlu krząta się po swojej pracowni. Skulona chucha w dłonie, starając się je rozgrzać. Na miejscu ma piecyk do szybkoschnących wydruków i wkłada na chwilę ręce do środka, mrużąc do siebie. Trzęsie się z zimna, jej twarz jest blada, ale brodawka na brodzie zdaje się mniej wyraźna, niebieskie oko wilgotniejsze. Przerzuca spiętrzone na stole filtry żelatynowe, ścinki, rysunki, zdjęcia oraz parę wycinanek starej niebieskonosej kobiety w długich spodnicach i chuście, złamanej

wpół, o plecach wygiętych w pałąk wyżej głowy niczym laska pasterska. Nie tego szukała; ciska je na bok, wyciera nos w rękaw kitla. Wtedy natrafia na pomalowaną klatkę ze starym bezdomnym menelem opartym o rozsypujący się budynek w biedniejszej części miasta, obok kartka prosząca o datki na FUNDUSZ POMOCY BEZROBOTNYM PIZDOLIZOM, pies z podniesionym wysoko ogonem dociekliwie się w niego wpatruje. Menel włożył palec do nosa, w drugiej dłoni dzierży brązową papierową torbę. Cha, cha! Animatorka uśmiecha się bezzębnie, wrzuca klatkę na stół do animacji, wybiera jedną z wycinanek.

Stara niebieskonosa kobieta w chuście, postępując po ulicach, napotyka brodatego żebraka zgarbionego przy rozsypującej się czynszówce. Jest zupełnie znieruchomiały, tępo wgapia się w dal, palec trzyma w nosie. Z boku stoi pies z podniesionym ogonem, łeb ma sztywno uniesiony. Kobieta kopie psa (na ścieżce dźwiękowej słychać *ij-ij* i drewniany stukot), zabiera papierową torbę, która wysuwa się z zastygłej dłoni żebraka niczym z podajnika. Zerka do środka, uśmiecha się, odsłaniając ostatnie trzy zęby. Wychyla duszkiem, *gul gul gul*, odrzuca torbę. Donośny brzęk tłuczonego szkła. Kolor jej nosa przechodzi z niebieskiego w czerwony. *Dzięki, Pete*, mówi, choć jej usta się nie poruszają.

W pracowni animatorka nuci jakiś kawałek, już się nie trzęsie, delikatny rumieniec na policzkach i świeży błysk w oku. Sięga do kieszeni kitla i wyciąga coś małego, dżdżownicowatego niczym wałeczek białego ciasta, lekko niebieskawy, w sam raz na jedno ciastko. Ustawia to pod aparatem cyfrowym i fotografuje pod różnymi kątami, a następnie wkłada na chwilę do piecyka, aby zmiękło. Animatorka turla wałeczek w dłoniach, robi więcej zdjęć. Wygina, rozciąga, tworzy pętle, węzły, ósemki, pracuje z pigmentami, zdjęcia na ekranie nazywa podług koloru, rozmiaru, kształtu i umiejscowienia, które odczytuje z wyświetlanego układu współrzędnych. Wałeczek wypada jej z dłoni. Szukając, niechcący go przydeptuje i rozgniata. Nieważne. Zdmuchuje kurz, fotografuje i nadaje nazwę (nowy zbiór), ponownie modeluje. Więcej pigmentu. Zamienia go w mysz, w rybę, kolanko hydrauliczne, ptaka, kość, róg, młotek, łyżkę, kozę i garłacz. Tworzy z niego cyfry i litery. Przydaje mu usta. Uszy. Błażeńską czapkę. Przerzuca obrazy na komputer i zestawia ze sobą, sprawdzając różne kompozycje. Podczas obsługi programu do animacji, dzięki kinematyce odwrotnej i morfingowi, martwa rzecz ożywa i wykonuje coś na kształt radosnego tańca, niebieskawa bladeść stopniowo ustępuje rumianemu odcieniowi. Animatorka

dokonuje paru zmian w sekwencji, kopiuje na dysk, przeszukuje slajdy i zdjęcia, aż znajdzie kadr z nim, jak przekracza most nad zamarznąłą rzeką, ubrany w stary filcowy kapelusz i płaszcz w jodełkę, potem łapie słoik z klejem i opuszcza pracownię.

Wraz ze ślizganiem się starej czerwononosej kobiety wstecz pustymi ulicami prosta melodyjka ustępuje miejsca czemuś przypominającemu bardziej dziecięcą wylizankę przy skakance. Jej stopy migają pod spódnicami, przesuwały się w przeciwnym kierunku niż poprzednio i nawet jeszcze szybciej. *Ziup* – i już tam jest. Zamarznąły rycerz o oszronionej brodzie wciąż leży na plecach pod rachitycznym ustrojstwem, tam gdzie go zostawiła. Co jakiś czas, gdy uderza podmuch, wiatr huśta go trochę na twardych niebieskich pośladkach. Pomiedzy nogami wysiaduje jedynie dwie niebieskie kulki wielkości grochu. Ponad głowami rozpoczyna się brzask, słabawo, jakby żywił urazę. W tle zaczynają dobiegać dźwięki ruchu ulicznego. Stara kobieta sięga do kieszeni spódnicy, wyciąga brakujący członek i słoiczek z klejem, obszar klejenia obsmarowuje żółtą mazią (dźwięk fal rozbijających się o plażę), przymocowuje na powrót niebieskiego fiuta. Mężczyzna wyskakuje rozbudzony z wytrzeszczonymi oczami.

– Co? CO?! – wrzeszczy z gardłem pełnym flegmy.
– Gdzie ja *jestem*?

– W porządku, Pete.

– Co w porządku? Co się dzieje? Skąd mam brodę?
Co to za film?

– Pete, to nie jest film. To się dzieje naprawdę.

– Jasne, że tak – sapie, opada i ponownie zamyka oczy. – Spróbuj później.

– Zostań ze mną, Pete. Zobacz, co ci przyniosłam.

Kobieta liże palec i wtyka go pod niebieskie kulki. *Klik*. Oczy mężczyzny ponownie się otwierają, a on sam unosi się na łokciach i z przerażeniem wpatruje w małe niebieskie coś sterczące tam, gdzie powinien być jego kutas. To coś wije się w tańcu. Dziecięce melodyjki cichną, zastępują je stare wodewile, spelunkowe kawałki. Coś zaczyna tańczyć shimmy i gdy wije tym, co mogłoby być biodrami, gdyby miało biodra, rośnie i przybiera cieplejsze kolory. Nagle cieniutkie niczym sznurek latawca wzbija się wysoko w mroźne powietrze, wiąże w kokardę, rozwiązuje kokardę i zgniata na powrót w kształt grubej różowawej świecy, knot marszczy się na swej małej scenie zupełnie jakby był kutasem. Świeca kurczy się, knot rośnie i przechodzi w odręczne pismo, układa się w *zjedz mnie* oraz *kocham cioty*, nawet udaje mu się zrobić kreseczkę od *t*, potem pęcznieje w coś, powiedzmy,

na kształt trąbki przygrywającej do pianina. Przez cały ten czas nabrzmiewa, czerwienieje, napełnia kolorem przyległe obszary i uwalnia małe fale przyjemnych skurczów i spazmów w podbrzuszu rycerza. Tam, gdzie zaczyna być ciepło. Jego kulki to wciąż kulki, ale nie są już niebieskie. W popisowym numerze mała, zmiennokształtna, roztańczona maszynka przemienia się w całkiem sensowną kopię jego wzwiedzonego penisa, a następnie – lekko się śliniąc – z dumnym uśmiechem skłania główkę w kierunku mężczyzny, poruszając jakby uszami.

– O żeż! – twórczyni wybucha śmiechem, wieczna pasjonatka, klaszcząc dłońmi z ucieshy. – Popatrzmy raz jeszcze?

– Mój Boże, zawsze tak będzie robić?

– Tylko na teraz, kotku. To było na próbę. Jak wrócimy do pracowni, wgram furę nowych opcji. Będziesz mógł być własnym choreografem. Do obsługi musisz tylko sobie wetknąć palec w dziurę, jak ja to zrobiłam, i pomachać dżojstikiem.

Dosiada małego wiercipięty – tylko żeby się rozgrzać, jak to ujmuje, stwierdzając, że poczuła nagły chłód w tym delikatnym miejscu – i żeby jego też rozgrzać; jej świeże bułeczki, mówi, ulżą jego topniejącemu brzuskowi, który właśnie zaczął burczeć.

– No. Niech zajmę się tymi twoimi zarostakami, synku. Teraz mi się nie ruszaj – jednym ruchem z kieszeni spódnicy wyciąga brzytwę, pluje na nią i wciąż siedząc okrakiem na mężczyźnie, goli mu brodę. Zajmuje jej to dwa pociągnięcia, każde donośne niczym przejeżdżająca obok uliczna zamiatarka.

– Hmm. Nie. Chyba ci lepiej z brodą. Tylko ją przystrzygę – cofa ruchy, a oszronione włosy wskazują z powrotem na twarz mężczyzny, jej ślina do ust, ręka do kieszeni. Tym razem wyciąga z niej parę stalowych nożyczek. Strzygąc mu brodę, wierząc się i chichocząc, jakby zaraz miała na nowo włączyć tancerza, pyta:

– Pete, pamiętasz, jak się tu znalazłeś?

– Jebałem zamek. Chwilę potem wcinałem trociny. Ale tam nie było tak jak tu. Była wielka arena...

– Trochę minęło, kochaniutki – mówi. Kobieta ujeżdża go, jej czerwony nos błyszczący, nożyczki tną trochę wściekle. – Sprawy się szybko rozwinęły.

– I wielkie tłumy. To była jakaś historyczna okazja. Pod koniec zrobiło się dość ostro i mogło mnie trochę ponieść. Obawiam się, że... że mogłem ją zabić.

– Kogo? Twardą Corę? Nie-e, wszystko z nią w porządku – stęka, wciąż go pompując. – To był tylko film.

– Ach, racja. Dlaczego cały czas o tym zapominam? – mężczyzna zdaje się znów odpływać.

– Pete! Nie za wygodnie ci!? – krzyczy i zeskakuje z niego, po czym wygładza spódnicę. Tancerz robi sobie przerwę, zwija się w jego szpakowatym gnieździe włosów łonowych. Słysząc tylko przejeżdżające samochody, coraz głośniejsze. – No dalej. Musimy postawić cię na nogi i kontynuować twoje bestialstwa!

Dźwiga go, opatula w złachmaniony stary płaszcz w jodełkę, na głowę wciska wygnieciony filcowy kapelusz, przedmioty zjawiają się, jakby wyciągała je z tej samej kieszeni spódnicy, ale on znów już sunie ku ziemi. Osuwa się na małpi gaj, poszarpaną brodę wciska w szerokie klapy płaszcza. Animatorka rzuca okiem na starą rozklekotaną konstrukcję ponad ich głowami, z namysłem drapiąc się po tyłku.

– Słuchaj! Sprawdźmy, czy uda nam się uruchomić ponownie tego starego bota fabularnego!

– Dzięki, ale nie – mamrocze z wnętrza płaszcza, głowa opada mu między kolana. – Jeden raz wystarczy.

– Jeśli te antyczne bebechy nie przerdzewiały do szczytu, to w środku jest kupa opowieści, słodziaku. Może miliony. Pomagałam je tam zainstalować. A wiele z nich ma szczęśliwe zakończenia. Jebaniny, w jakie nie uwierzysz! To cię rozchmurzy! Tylko sprawdzę, czy wciąż daje się odpalić.

Kobieta zeskrobuje mech, odnajduje parę luźnych, dyndających przewodów, podczepia się i znika na chwilę. Mężczyzna siedzi bez ruchu, głowa zwieszona, rozwartą płaszcz tworzy wokół jego starczego bladego brzucha ramę niczym wełniane zasłony. Gdyby nie podmuchy śniegu, można by pomyśleć, że to nieruchomy kadr. Skądś dobiega niewidoczny harmider ulicy. Teraz to już syreny, a także klaksony, gwizdki, świdry pneumatyczne, wypadki, strzelaniny – normalka. Gdy kobieta zjawia się ponownie, potrząsa nim, próbując go wyrwać ze stuporu, i opowiada o zniszczeniach wewnątrz bota, o wszystkich pokasowanych rzeczach, popsutych linkach i uszkodzonych plikach, niektóre zostały poczynione przez złośliwe bachory wessane przez bota, gdy wspinały się w pobliżu i wciąż gdzieś się w nim wałęsają, ale stwierdza też, że zhakowała parę przyłączy i jest przekonana, iż niektóre fabuły wciąż da się odpalić. Coś może pójść nie tak, ale powinni spróbować. To mu zrobi dobrze na jaja. Mężczyzna nie wyraża ani oporu, ani poparcia wobec planu, wciąż cokolwiek zdziwiony zmianami w jego życiu, ale pozwala, by postawiła go na nogi (krótki, dwuklatkowy ruch) i podpiera przewodami do antycznej konstrukcji. Specjalna uprzęż nie jest wymagana.

Tłumaczenie z języka angielskiego: **Krzysztof Hoffmann**